Ner 31. Kraków, 5go Sierpnia. 1861.

Prenumerata w Krakowie wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 6 złr. — c. w. a.
Półrocznie . 3 „ —
Kwartalnie . 1 „ 50 „ „ „
Miesięcznie — „ 50 „ „ „
Z Modam paryskiemi:
Rocznie . . 10 złr. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 „ 10 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 55 „ „ „
Miesięcznie . — „ 85 „ „ „

NIEWIASTA.

Prenumerata zamiejscowa wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 7 złr. 20 c. W. a.
Półrocznie . 3 „ 60 „ „ „
Kwartalnie . 1 „ 80 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 11 złr. 40 c. w. a
Półrocznie . 5 „ 70 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 85 „ „ „
„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr. płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 złr. 30 centów wal. austr. — Talar pruski przyjmuje się po 2 złr. w a.
Inseraty (stósowne) opłacają się: za pierwszorazowe umieszczenie od wiersza petytowego 7 cent., nastepnie po 4 cent. Dokłada się 30 cent. za każdą razą na stępel rządowy.
Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie**, Ulica Sławkowska.
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane księgarnie.

ZNOWU SŁÓW KILKA
O JĘZYKU OJCZYSTYM.

I.

Jestto stara historya,
Lecz ciągle się odnawia,
A komu się przydarzy,
Temu serce zakrwawia.
Z Heinego.

Kilka razy podnosiła już *Niewiasta* sprawę języka naszego; zdawaćby się więc mogło zbytecznem nowe jej poruszenie. Tymczasem my ze swej strony sądzimy inaczej. O ważnych, żywotnych, poniekąd świętych sprawach, — a któż odmówi ważności sprawie języka ojczystego? — nigdy za często, nigdy za wiele nie można mówić; zwłaszcza jeśli zmuszają do mówienia zjawiska pomimo ciągłych upomnień serdecznych, pomimo chłost satyry i dowcipu, na powierzchnią życia narodowego się wynurzające; — jeśli zmuszają nałogi na pozór śmieszne ale w skutkach daleko sięgające; nałogi, które przy bliższem poznaniu przestają być lekkomyślnością, a jako poniewieranie bezbożne świętym darem bożym, jako marnowanie lekkomyślne dobra, a raczej jedynego prawie klejnotu narodowego, co nam pozostał z drogiej i świetnej puścizny po wielkich praojcach, jako wyrzekanie się głosu, którym przemawia do nas kilkuwiekowa przeszłość tak krwawo zapracowana, stają się zaparciem swej własnej istoty, samobójstwem, odstępstwem od świętej sprawy, a więc zdradą i zbrodnią przeciw narodowi. Jednym z takich nałogów wkorzenionych głęboko w duszę warstwy jakby na świeczniku życia narodowego stojącej, takiem co chwila powtarzającem się zapieraniem istoty narodowej, jest owa mania mówienia bez potrzeby, albo raczej *paplania po francusku.*

Przytem zapewnić możemy, że nie zmyślone, ale rzeczywiste wypadki skłaniają nas do pisania. Zdarzyło się nam bowiem spotykać w mieście naszem, i to nawet w najświeższych czasach, bo już po wypadkach strasznych warszawskich, ba zaledwie dni temu kilka, grono młodzieży bez żenady parlującej po rynku starego Krakowa. Była to młodzież tak zwana złota; niestety! ciągle nam się cisnęło do myśli spostrzeżenie, czy przy dzisiejszym powszechnym braku brzęczącego kruszcu, i tu złoto gdzieś nie znikło, aby je zastąpiły szmaty i bomagi? A w najpierwszym razie, czy miało to być złoto żydowsko-rzeszowskie? Niestety, byłato młodzież, której bądźto ojcowie, bracia, bądź krewni albo bliscy znajomi upominali się i upominają po sejmach, po których rozproszeni o prawa swe upominać się musimy, o prawo nam przyrodzone, o prawo przez Opatrzność nadane — o język nasz ojczysty w szkole i urzędzie!

Czy to nie ironia?

Kto częściej zwiedzał wystawę obrazów niedawno co zamkniętą, ileżto tam nasłuchać się musiał onej paplaniny francuskiej, chociaż nie było tam ani hr. Montalemberta, w ogóle żadnego cudzoziemca, ani nawet żadnej guwernantki Szwajcarki; byli tylko sami swoi, aż miło. Pomimowoli *trzeba było słuchać,* onej dziwnej i dziwacznej uszy i duszę szczeropolską tak rażącej mieszaniny wyrazów i fraz francuskich z polskiemi, bo *konwersacya* odbywała się zwykle z ową *nonchalance*, tak jakby w sali nikogo nie było prócz onego makaronicznego towarzystwa. Przysłuchajmy się chwilkę. Oto staje grupa — a jaka grupa? aż się serce rozpływa; grono pięknych niewiast i dorodnych *kawalerów servante* przed obrazem; i nagle wyrywa się głosik: *„Ah voyez! znowu Majerheim; — ksiądz B..... wielki jego amator, il va l' acheter.“* — Grupa posuwa się do akwarelli Hofmana przedstawiającej nasze Sukiennice, a *panie i panicze polskie* podziwiają piękność obrazu — przedstawiającego *pomnik polski — po francusku!*

Kazimierz Wielki, co miał tyle pracy, aby państwo i naród dopiero pod ojcem jego złączony do poczucia się w narodowości, do wyrzeczenia się obcych żywiołów, co to Łokietkowi tyle stawiły oporu, przyprowadzić... Kazimierz Wielki, mówię, przewraca się w grobie.

Czy to nie ironia?

Ale wróćmy do naszej grupy. Oto stanęła właśnie przed krajobrazem, jeśli się nie mylę Szermentowskiego; i — o dziwo! — słyszysz wykrzyk podziwu: *„Vraiment c' est notre ciel polonais!“*

Czy to nie ironia? nie świętokradztwo?

A nas, cośmy bezdusznej z polskich dusz i pięknych ust szybko jakby na kołowrotku wylatującej paplaniny byli świadkami, zabolało serce i pomimowoli stanęło nam w myśli pytanie, czy też te panie i panicze, Polki i Polacy czystej krwi, dość było popatrzeć na kwitnące ich lica, spadkobierce tradycyi i obowiązków po antenatach, co za sprawę chętnie gardło dawali, — czy też tak rozmiłowani w francuzczyznie nie wołali na wieść o onych okropnych niedawno co minionych zajściach: *„Mon Dieu! comme le sang polonais y coule!“*...

Boże odpuść mi! Trąciłem stronę tak bolesną, ale zawołać muszę z poetą:

Teraz wylewam na świat ten kielich trucizny,
Zrąca jest i paląca mojej gorycz mowy,
Gorycz wyssana ze krwi i łez mej ojczyzny:
Niech zre i pali nie was, lecz wasze okowy!

A temi okowami waszemi, co brzęczą około strojnych waszych postaci, temi pętami, co krępują was i dzieci

wasze, a z wami i naród cały w pochodzie ku wielkiemu celowi, który nam Bóg sam wytknął, są wasze wady, narowy, nałogi, grzechy, w których bez opamiętania brniecie jak ślepy lub pijany w błocie, a przecież zawsze z miłością dla sprawy na ustach.

Polki i Polacy! czy to nie ironia?

A czy to nie dość powodu, aby podnieść na nowo tyle razy wytaczaną sprawę, — podnieść ją w piśmie płci niewieściej poświęconem i zaprotestować na nowo przeciw takiemu lekceważeniu świętości narodowej tych jawnogrzesznic i jawnogrzeszników. W najpierwszym razie aby pozostało świadectwo, żeśmy jeszcze nie zupełnie obojętni na takie występki przeciw narodowości, a wreszcie i w tej nadziei, że się jakoś może przez garderobę dociśnie wiadomość o tych słowach naszych, do której z tych polskich cudzoziemek, i ocknie się dusza od powicia obczyzną gnębiona, — a wiadomo jaka radość po znalezieniu jednej straconej owieczki.

Tymczasem zostawiając dalsze uwagi nasze do następnych numerów, powtarzamy słowa na wstępie zapisane:

Jest to stara historya,
Lecz ciągle się odnawia,
A komu się przydarzy,
Temu serce zakrwawia.

MARYA LESZCZYŃSKA,

Obrazek historyczny

przez

EDWARDA LUBOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

III.

Marya Leszczyńska urodziła się d. 23 czerwca 1703 roku, w Poznaniu. Mówić o jej latach dziecinnych, jest to na nowo przypominać cały szereg nieszczęść jej ojca i klęsk wojennych jej ojczyzny, których ona ciągle pomimowoli być musiała uczestniczką. Niebezpieczeństwa które jej dziecięcej główce groziły, były jakby widocznym palcem Boga położonym na czole tej, której danem było w przyszłości osłodzić dolę smutną familii, i stać się chlubą dwóch krajów, jednego w którym życie wzięła, drugiego w którym życiem swojem, nowe, nieznane tam prawie dotychczas, zaszczepiła. Idziemy nawet dalej, mówiąc, że Opatrzność upodobała sobie umyślnie przenieść tę plantę urodną, świeżą, z polskiej kwitnącej łąki, w obcy palący klimat, między exotyczne, strojne lecz sztuczne kwiaty, a to dla tego, aby ten kwiatek polny biorący rosę swą wiosenną bezpośrednio z niebios, a barwy wprost od słońca, olśnił właśnie swą cudną prostotą tamte, niewiedzące dotychczas, że źródła tych pojedyńczych wdzięków nie w treibhauzie, ale po nad ziemią cokolwiek szukać należy. A chociaż Marya Leszczyńska spełniła do końca smutny los polnego kwiatka, co przeniesiony w obce sztuczne ciepła, więdnie i usycha, to przecież kiedy zwiędła, znać było że tutaj kwitła, a nawet świeżością swoją inne orzeźwiła i ocuciła.

Kiedy ojciec Maryi królem polskim został, liczyła Marya lat 2. W kilkanaście dni potem gdy Karol XII, podążył z wojskiem swoim ku Rusi Czerwonej, a król Stanisław na zamku stolicy swojej przesiadywał, nagłym pochodem zbliża się król August do Warszawy i zdobywa ją w krótkim czasie. (patrz poprzednie Numera). Uchodzi Stanisław z familią w ślad wojsk Karola, w nieładzie ucieczki o mało nie utraca córki, albowiem ochmistrzyni rozumiała że ta jest przy służebnej, a służebna że przy ochmistrzyni. Wojsko już milę zrobiło, gdy się spostrzeżono, — oddział kawaleryi który się wrócił szukać jej, nadarmo przetrząsa cały dom, grożąc gospodarzowi tegoż, że w razie niewydania dziecięcia dom podpali. Już miano to uskutecznić, gdy przypadkiem znaleziono ją leżącą w żłobie stajenki, czy w stodole wiejskiej w kolebce i uśmiechającą się do wybawców.

Dalsze lata jej dziecięctwa i młodości były samym pasmem tułactwa z miejsca na miejsce. W pośród ustawicznych przechodów wojsk saskich, szwedzkich i moskiewskich przesiadywała Marya z matką to w Warszawie, to w Rydzynie na pograniczu szląskiem, majątku Leszczyńskich. Nareszcie po przegranej pod Pułtawą, kiedy Stanisław wyrzec się musiał wszelkich nadziei królowania, Marya mając lat 6 naówczas, pożegnała się z swoją ojczyzną na zawsze, i odtąd to w Szczecinie, to w Sztokholmie, to w Biponcie razem z rodzicami i babką, matką Leszczyńskiego, przesiadywała. Wychowaniem jej zajmował się podtenczas ojciec. A któż mógł lepiej kłaść nasiona prawdy i cnót w serce dziewczęcia, jeżeli nie ten, który sam dosięgnąwszy najwyższej wielkości ziemskiej, widział się potem z tejże nagle strąconym, którego życie było jak fala spychana raz w górę, raz na dół, lub jak książka czarna samą boleścią i stratami zapełniona. Światłość swego rozumu opartą na nauce i doświadczeniu, religijność pochodzącą z zasad krwią wyssanych i z zastanowienia się nad kolejami dziwnego swego losu, nareszcie rozsądek i szlachetną wspaniałomyślność, położył za kamień węgielny córki swej wychowania. I udało mu się to nadspodziewanie, Marya odtąd była dlań skarbem szczęścia, za który Bogu serdecznie dziękował.

Ze wszystkich cnót, z których wielbiono księżniczkę, uderzała litość dla nieszczęśliwych — nie szukali jej nigdy ubodzy, ona ich zawsze umiała znaleźć, tak, że pomimo miernych środków, nazwano ją chojną.

Gdy przybyła do Weissenburga miała lat 16. Te jej przymioty które nabrały rozgłosu, były powodem starania się o jej rękę kilku znakomitych książąt, mianowicie margrabiego Badeńskiego Wilhelma Jerzego. Małżeństwo to byłoby doszło do skutku, gdyby nie pycha matki margrabiego z domu Sax-Lauenburg, uważającej połączenie się z Maryą za mezalians, bo co się tyczy Leszczyńskiego, byłby naówczas nic przeciw niemu nie miał. Również potem w skutek ciągłych pochwał jakie kardynał de Rohan przyjaciel Stanisława oddawał jemu i jego córce, książę de Bourbon pierwszy minister królewski naówczas owdowiały, postanowił się powtórnie ożenić. Lecz wprzódy starał się o dostanie portretu Maryi, co gdy mu się udało, tak się piękną jej twarzą zajął, że teraz osobiście chciał poznać sam oryginał. Te zamysły ministra niemogły długo pozostać w tajemnicy na takim dworze, gdzie rozrywką każdego było wynajdywać najskrytsze historyjki, aby z nich złożyć potem maleńki choćby paragraf kroniki skandalicznej. Tutaj o kronice skandalicznej myśli nie było, ale zwietrzono konkury Bourbona, i podziwiano piękność Maryi, więc migiem błyskawicy doniosło się to do młodziutkiego i pięknego króla Ludwika XV, który wraz z swemi ministrami w wielkim był naówczas kłopocie co do swego ożenienia się.

Francya albowiem po długich i kosztownych wojnach Ludwika XIV, potrzebowała gwałtownie spokoju na wewnątrz i zewnątrz. Cała regencya dążyła ku temu, ale Hiszpania mająca królów także burbońskiej linii, i to roszczących sobie prawo do korony francuskiej przed linią

Orleanu, wiecznie bruździła za każdą razą zaostrzając sobie szpony, zwłaszcza gdy kiedy małoletni Ludwik XV popadł w chorobę. Stósunki z tego powodu między Filipem V a regentem orleańskim bardzo były naprężone, aż dopiero przybycie młodziutkiej infantki hiszpańskiej na dwór francuski, jako narzeczonej przyszłego króla, pozornie dwa dwory do siebie zbliżyło; — lecz i w tem było wyrachowanie ze strony Hiszpanii, rachującej na śmierć słabowitego Ludwika, w którym to razie sukcesya dla linii hiszpańskiej byłaby otwartą. Również Karol VI, cesarz niemiecki, pragnący wszelkiemi sposobami uzyskać sankcyą pragmatyczną sukcessyi dla córki swej Maryi Teresy, zbliżył swe interesa do interesów Hiszpanii, postanawiając razem z tą w razie ewentualności działać przeciw Francyi. Wtedy dyplomacya francuska poznała, że jedyny ratunek na to jest, ożenić króla jak najprędzej, aby zapewniwszy potomstwem dziedziczność Francyi, wykluczyć przez to samo intrygi Hiszpanii, rachującej na brak potomstwa. i w tym celu wysyłającej 7letnią infantkę do Francyi. To postanowienie pociągnęło za sobą odesłanie infantki do domu, że zaś krok taki tylko więcej jeszcze ścieśnił alians rozgniewanego Filipa Vgo z Austryą, a Francyą musiał popchnąć do nagłej decyzyi, to wynik naturalny. Nie z czystego więc tylko przypadku spowodowanego trochę, jakeśmy rzekli, przez księcia Burbona, rzucono oczy na Maryą Leszczyńską, ale i z wyższych przyczyn. Król Stanisław bowiem, lubo nie miał państwa ani korony, lecz miał swe prawa i pretensye, które zawsze dają punkt dyplomacyi do zahaczenia najważniejszych kwestyi. Broniąc praw Leszczyńskiego, Francya zyskiwała sprzymierzeńca w całej prawie Polsce, a ta stanąć jej mogła dzielnym przedmurzem przeciw Austryi, Rosyi i Prusom, jednała jej Szwecyą, a w każdym ostatecznym razie wojny nawet powszechnej, mogła jej pomódz do rozszerzenia granic państwa.

Oprócz tych przyczyn była i ta pojedyncza, że młody król Ludwik zobaczywszy jej portret, i słysząc wiele o jej przymiotach i urodzie, stale połączyć się z nią zamyślał, co wprawdzie z początku długi czas pod sekretem trzymano, lecz wraz po odesłaniu infantki sam król urzędownie to zgromadzonym dygnitarzom oświadczył. Cała Europa zdziwiła się, nikt nie chciał wierzyć, aby skromna córka nieszczęsnego tułacza zasiąść miała na najpotężniejszym tronie. W samym Paryżu kursowały różne złośliwe uwagi i piosneczki, z których dość jednę np. przytoczyć:

SUR LA REINE.

Les dieux vous ont conduite au printemps de votre âge
Sans beauté.
Quand on est ainsi faite on a la vertu sage
Sans rareté,
Et . . . .
. . . . .

Je ne crois riens Julienne,
De tout ce que tu dis.
Quoi! nous aurions pour reine
La fille d' un banni,
Qui devrait être femme
Du jeune Courtenvaux:
Cela serait beau!

Cette jeune . . . . .
Que l' on amène au roi,
Elle a les écrouelles;
N' en soyons en émoi
Avant . . . . .

Chciano się złośliwemi wierszykami zemścić na biednej księżniczce za to, że ją król potężny ponad inne, jaśniejące bogactwy i potęgą wyniósł, lecz nie wiedziano jeszcze, że ona nikomu berła znaczenia z rąk nie wytrąci, lecz w swoim wytkniętym sobie zakresie z poświęceniem działać będzie. Jednakże, gdy już pewność faktu tego nastąpiła, wielki był zjazd magnatów z Alzacyi i Francyi składających powinszowanie, między któremi owa pyszna margrabina Badeńska nie była ostatnią, przysyłając nawet list arcy-submisyjny i proszący o łaskawe względy dla niej i całej jej familii, gdyż córka jej była za księciem Orleanu.

Zobaczymy teraz, jak nowinę tę Stanisław i córka jego przyjęli. Stanisław z początku niechciał wcale wierzyć zważając całą donośność tego dlań niespodziewanego zdarzenia, dopiero gdy mu kardynał de Rohan na dowód tego list ministra ks. Bourbon wręczył, zamyślił się, doświadczywszy wielkiego wewnętrznego ukontentowania.

Była to dla niego jedna błoga chwila, wynadgradzająca mu tysiące bolesnych walk i zawodów, chwila tem więcej dlań uroczysta, że może wtedy ośmielił się pomyśleć, iż Bóg taki los zsyła mu za nagrodę jego cnót i cierpień. Marya przyjęła tę wiadomość z pomięszaniem, z pokorą, bojąc się dostojności, do której nie będąc przywykłą, niewiedziała czy jej godnie odpowie;— dla tego tem goręcej modliła się, szukając błogosławieństwa na drogę, w której ona tysiące cierni przeczuwała. Uprosiła także rodziców o pozwolenie schronienia się do klasztoru, gdzie spokojnie oczekiwała dnia przeznaczonego na jej zaślubiny. *(C. d. n.)*

ZOFIJÓWKA.

(Fragment).

. . . .

Dwa razy tutaj byłem, na wiosnę i w lecie.
O jak w tych odwiedzinach jest wielka różnica!
Tak wszystko w każdej chwili zmienia się na świecie,
Jak pod wpływem uczucia kształt ludzkiego lica,
Co raz jad lub szatański z siebie uśmiech miecie,
Drugi raz znów anioła słodyczą zachwyca.
Może potrafię schwycić odcień tej przemiany,
Jak jeden śpiew, lecz z różnych akordów zagrany.

W wiośnie była to niby ma muza dziewicza,
Budząca się pierwszego młodych marzeń rana,
W której myśl chrześciańska z greckiego oblicza
Błyszczała jak z lazurów gwiazda nieskalana;
Pierś jej jak lustro wody, a serce niezlicza
Jeszcze swoich uderzeń wściekłością orkana;
Patrzy na świat, a marzy — nie zna jeszcze świata,
Nie znane jej ni bujność, ni pioruny lata.

W tej porze białe brzozy zwieszone nad stawem
Były jak białe nici we wielkiej tkaninie —
Prześwieconej promieniem słońca jeszcze mdławem —
A drobne listki, których ślad ledwie nie ginie,
Były jak małe muszki, nad okiem jaskrawem
Zwieszonego woalu, co młodej dziewczynie

Tyle wdzięku dodają, gdy w takiej osłonie
Błyszczy szafirem oka, a rumieńcem płonie.

I przez taką tkaninę jakby przez kryształy
Widziałeś cały ogród — i tajemne groty,
I młodym mchem porosłe granitowe skały,
I w sieć się krzyżujące tych konarów sploty,
I promienie co strugą między nie wpadały,
Budując nad twą głową ze światła namioty.
Była to jakby dusza otwarta i szczera,
Co ufna w swą niewinność wszystkim się otwiera.

Jakby serce dziewicy, które poznasz z oka,
I z pierwszego uśmiechu, bo w nim żyje cała;
Nic jeszcze w niej nie kryje pierś, później głęboka,
Zna tylko swą niewinność, świata nie poznała!
Lecz kiedy raz strumieniem pęknie ta opoka,
I zacznie w sercu uczuć — burzyć się nawała,
Dusza cofa się w siebie — i w sobie zamknięta,
Na oko i na uśmiech kłamstwa wciska pęta.

Kiedy drugi raz byłem, było to w rozkwicie
Natury najsilniejszym, w dzień świętego Jana
Wigilii. Wszystko liściem skryło się obficie,
W roślinność, w kwiaty jakby zasłonę przybrana
Natura — narzeczona, co ma się o świcie
Drugiego dnia obudzić już żoną nazwana,
W ostatni dzień dziewictwa rozkoszą natchniona
Silne westchnienie słała z róż, z jaśminów łona.

Dawną skromność, prostotę, piękność zastąpiła,
Piękność, co drży w objęciach męzkiego ramienia —
Oko jasne, lecz gromów bije z niego siła,
I czoło żarem uczuć by chmurą zacienia.
Dusza w tajnie się myśli niewidomych skryła,
Liśćmi przed ciekawością chroni się promienia —
Może przed samą sobą — dziś okupić trzeba
Chwilą ziemskiej słodyczy dawne szczęście nieba.

O, dziwna melancholia w tym blasku młodości!
Tyle rozkoszy przecież i smutku tak wiele,
Co nie widny na twarzy w sercu jednak gości.
Wszystko kończy na świecie to jedno wesele.
O któż w nim upłynionym dniom nie pozazdrości,
Gdzie droga życia jemu nadzieją się ściele?
Dziś już wszystko skończone — spełnione nadzieje—
Człowiek ma się już starzeć, a kwiat zaś zwiędnieje!

I cóż wam więcej powiem? — Tu by należało
Postawić w kącie lirę — z waszym zyskiem może.
Opisałem wrażenie, jakie się zostało
W mej pamięci — w epiczne puszczać sią bezdroże
Rzecz nie moja — nadto znam to miejsce mało,
Ażebym nie pomyślał, nim dłuto przyłożę,
Że chcąc wykonać posąg, rysy wykoślawię
I coś dodam lub ujmę może jego sławie.

Lecz spróbujmy! a jeżli kiedy tu przyjdziecie
I inny wcale obraz oczom się przedstawi,
Darujcie mimowolnie to kłamstwo poecie.
Ze swą szkodą nie pierwszy raz złudą się bawi.
Kiedyś sobie powiedział, że wszystko na świecie
Piękniejszem się pod szatą tej optyki jawi.
I cóż robić z upartym? jak zechce niech śpiewa!
On nie ujrzy ni tego, gdy kto z was ziewa.

W każdej rzeczy co piękna, jest piękniejsza strona.
Cóż jest tem najpiękniejszem w tym pysznym ogrodzie?
Pewnie ta jasna szyba stawu ustrojona
Dokoła drzew kolumną, altaną na przodzie,
I wizerunkiem nieba w wnętrzu swego łona,
Co jak fata morgana w cichej pływa wodzie,
A przy nim jak na straży z granitów opoki,
Czuwają, by powstrzymał w szale swoje kroki.
. . . .

PORTRETY,

przez

NIE-VAN-DYKA.

(Lwów, nakład Karola Wilda 1861 roku).

(Ciąg dalszy).

Wiedząc tedy już o stanowisku, z jakiego się autor *Portretów* na społeczeństwo nasze dzisiejsze, zapatruje, wiedząc, iż w dziele jego spotkać się mamy z odsłonię tą dla duszy naszej prawdą, że w niem w postaciach żywych i trafionych, poznawać mamy siebie i swoich krewnych i znajomych, których błędy i słabości, chociażeśmy je znali może, pomijaliśmy dotąd lekceważeniem, nie przypisując im takiego znaczenia, jakie w rzeczy samej mają — wiedząc to przypatrzmy się bliżej kolorytowi i charakterowi tych postaci, jakie im autor nadaje, i przejrzyjmy po szczegółowo te wszystkie poruszone tu kwestye.

Złotousty mowca ksiądz Piotr Skarga Pawęzki, który za panowania Zygmunta III, był że tak powiem, *uosobionem sumieniem narodu polskiego i jego króla*, który znając najdokładniej społeczeństwa naszego błędy i wszystkie największe i najmniejsze odcienia naszych słabostek, wiedząc tem samem, gdzie w tem społeczeństwie najsilniejsze tętno życia uderza, i zkądby najwięcej zdrowia i mocy na resztę narodu rozprowadzić, aby skuteczne na choroby wieku wynaleść lekarstwa — ten złotousty mowca, ten cudowny lekarz schorzałej duchowo ludzkości—powiedział był w jednem z swoich *wielkich* kazań sejmowych, *iż na tem wszystko zależy, abyście wszyscy byli szlachtą i dostąpili klejnotu szlachetności.* Skarga przeto w tych słowach określił najlepiej dążność i cel społeczności, wskazał drogę, po której iść musim do szczęścia i swobody.

Gdyby w mowie naszej znaleść można jaki inny wyraz na oznaczenie całej myśli, jaką i Skarga i wszyscy późniejsi mowcy i pisarze, określali słowem *szlachta*,

w pojęciu tego słowa najdonośniejszem i czysto duchowem, przekonany jestem, iż wyrazem takim nowo wynalezionym, nie gorszyłoby się tyle ludzi i tyle surowych stronnictw, których dziś — kiedy wszyscy w jednem ognisku celów i dążeń naszych, zestrzelić się winniśmy, wcale nie na naszą pociechę, coraz to większa jest liczba. Bolesnych dziejów fakta, w niejednej z naszej przeszłości epoce, taką goryczą napełniły serca ku temu *wyrazowi*, że mówiących i piszących dziś *o szlachcie*, bez uwzględnienia najlepszych zamiarów i pojęć—ani słuchać, ani czytać wielu nie chce. Jest to tylko przesąd i uprzedzenie polegające na zbytniem przywiązaniu się do formy, i na braku zbadania głębszego rzeczy i jej treści. Skoro Skarga powiada: *iż na tem wszystko zależy, abyście wszyscy byli szlachtą*, w wyrażeniu tem nie co innego ma na myśli, jedno potrzebę podniesienia i uszlachetnienia duszy naszej, której klejnotem nie może być, choćby też i najpyszniejsza *tarcza* ze złota lub drogiego kamienia, ale po wszystkie czasy jest i była miłość, wolność i szlachetność. Dla tego też autor Portretów, w rozdziale Iym zaraz z góry powiada *o szlachcie i intelligencyi, że szlachta jest niezawodnie historyczną i faktyczną alfą i omegą narodu.* Jeżeli bowiem przyznamy pojęciu wyrazu *szlachta* te trzy cnoty: *miłość, wolność i szlachetność*, nie będziem mogli zaprzeczać, iż podstawą i celem (alfa i omega) narodu, one także być winny. Sądzę, iż rzecz ta nie potrzebuje dowodzenia. Naród bez *miłości*, Boga, ojczyzny i bliźnich, bez *wolności* w rozwoju duchowym, i *szlachetności* w stosunkach tak w sobie, jako też na zewnątrz z innemi narodami, nie może być ani szczęśliwym, ani cnoty w sobie zasiewać nie zdoła, a tem samem nie może spełnić przeznaczenia swego na ziemi, jakie mu Bóg wytknął i nakazał. Byłoby chyba tylko to pytanie, zkąd do tego tak znienawidzonego od wielu wyrazu, dołączyło się takie pojęcie? Na to odpowiedź dają nam całe dzieje nasze. Szlachtę w dawnych i w najdawniejszych czasach stanowili u nas obywatele poświęcający się *na obronę i utrzymanie kraju, patryotyzmu i narodowości w Polsce.* Jeżeli więc charakter pojedynczych osób tyle nosił na sobie świętości, nie dziwną jest rzeczą, że do pojęcia ogół ich określającego, przywiązała się ta cała świętość i ten cały urok, z jakim dziś wyobrażamy sobie *szlachtę*. „Szlachta, o której pojęciu mówimy, to według Nie-Van-Dyka, patryarchalna, demokratyczna rodzina słowiańska, powstała przez ciągłą i czynną zasługę około dobra publicznego, nieznająca innych wyszczególnień i wyższości prócz nabytych temiż zasługami: przygarniająca do siebie wszystko, co do obywatelskiego życia dojrzało, co się z narodowem życiem zespoliło i zlało.“ Szlachty autor nie pojmuje bynajmniej, jako *kastę lub stan* w narodzie, ale uważa ją, jako zakon moralny tej podniosłości uczucia narodowego, która usposabia do uczestnictwa w życiu narodowem — jako obóz poświęconych już, w obec obozu dobijających się poświęcenia. To łączy się w pojęciu szlachty. Szkoda, że nie ma innego na nię wyrazu. Tym rozdziałem autor występuje przeciw *utopii* o szlachtę, rozszerzającej się w kraju naszym od dawna. Niezrozumienie dokładne i niepojęcie w tem znaczeniu *szlachty* było przyczyną długich walk spółecznych, było chorobą narodową, rozdzielającą nas na dwa *„antinarodowe bieguny“* arystokracyi i demokracyi, z pojęciami których, pojęcie *szlachty* Nie-Van-Dyka, wcale nie ma żadnego pokrewieństwa. Tym rozdziałem, autor portretów, z którym zgadzamy się zupełnie, tak jak i wszystkie nasze czytelniczki w tym względzie z nim się zapewne zgodzą, goi tę bolesną ranę naszego społeczeństwa, która tak długo na niekorzyść naszą, obcym najgorsze świadectwo o naszem rozdwojeniu się dawała, ranę, którą nam koniecznie uzdrowić należy — do którego to uzdrowienia lekarstw coraz więcej dostrzegamy między sobą.

Autor Portretów, przystępując do swego dzieła, umieścił na jego czele *„szlachtę i intelligencyą“* i dobrze zrobił, bo w słabości tej, jaką jest fałszywe zapatrywanie się na te dwie kategorye naszego życia, spoczywa źródło wielu, a może i wszystkich, później w temże dziele rozbieranych *kwestyj*, bo błędne uprzedzenie do tego wyrazu, który, jakem wyżej spomniał, radbym jakim innym zastąpić — jest zgorszeniem wielkiem naszego czasu, którego hasłem winna być jedność, a duchem, a dążnością *miłość, wolność* i *szlachetność*.

W następnym rozdziale podaje autor portret: „Wiejskiego polityka“. Za nim jednak do użycia barw na odmalowanie tego rodzaju osób przystąpił, przechodzi najprzód historyczne znaczenie i charakter polityki w dawnej Polsce. Twierdzi on, iż każdy Polak jest urodzonym politykiem. I prawdę twierdzi. Położenie i rząd Rzeczypospolitej Polski udowadnia to twierdzenie. W historycznym swoim przebiegu przechodzi następnie autor i epokę upadku znaczenia tej polityki. Epoka ta przypada na panowanie Zygmunta III. W tej epoce upadł zupełnie świetny szlachecki rozum stanu, przez co sfanatyzowana szlachta chwyciła się dwóch najbrzydszych wad społeczeńskich: prywaty i egoizmu.

„Fatalizm ten (str. 30), oderwał od Polski wspaniałe prowincye, zniechęcił i oddalił Kozaków, odebrał wielkie posłannictwo bronienia chrześciaństwa przed pogany, rozbił wreszcie Rzeczpospolitę, która nieznając żadnej polityki, musiała zniszczeć wśród państw, mających bardzo wyraźną. Fatalizm ten paraliżował wszystkie wielkie przedsięwzięcia narodu: sprowadził na niego Szwedów i Moskali, zmarnił ostatniego wielkiego króla Polski: Jana IIIgo. Historya polska tych dwóch wieków przedstawia nam smutny dramat ogólnej nieufności — zamętu dążeń politycznych i osobistych, które jak *Deus ex machina* zakończył podział.“

Zaprawdę, słuszne to są uwagi! Egoizm i prywata w polityce nawet dworów naszych, sprowadziły na kraj nasz wiele klęsk i nieszczęść, których potem najmężniejszy i najwaleczniejszy oręż odegnać nie zdołał. Zygmunt III przez egoizm polityki swojej, nie chcąc swemu młodemu synowi pozwolić przyjęcia caratu w Moskwie, a to przez zazdrość osobistą, w której go fanatyzm księży i panów (nie szlachty) utrzymywał, rozlał niemało krwi naszej nadaremnie w stolicy moskiewskiej, a kraj pozbawił nabytku berła — wiele późniejszych nieszczęść mogąc przez to, a niechcąc uchylić.

Jan III był egoistą w polityce — albo raczej nie był żadnym politykiem, dając się powodować wcale niestósownym dla nas, zagranicznym politykom.

Porozbiorowa epoka w dziejach naszych przedstawia nam bardzo wiele charakterystycznych postaci, z którychby można zdjąć portrety polityków. „Owe spuszczania się na sympatyę tego albo owego dworu, owe złote bańki mydlane niedowarzonych marzeń, owa apatya dziwna przy niezgodzie wewnętrznej, charakteryzowanej owem przysłowiem: Co głowa to rozum.“ Odtąd też datują się owe barwy rozmaite stronnictw, z których jedni wierzyli w pomoc Francyi, inni Anglii, Turcyi i t. d. Samoistne działanie narodu, wzgląd w siebie i na siebie, cierpiał najwięcej na tem — bo wygodna polityka uspajakająca nadzieją tych lub owych posiłków, sprawiała skutek taki, iż opuściwszy ręce, mieliśmy tylko nadzieje — i nadzieje — nie przewidując owej konieczności niemocy i bezwładności z takiej polityki wynikającej, która nastąpić musiała wtedy, gdyśmy te nasze nadzieje ujrzeli zawiedzionemi. Prócz tego, z nie-

zgody tej opinij politycznych wynikł też tem większy ucisk strony nieprzyjaznej i przeciwnej, korzystającej zawsze z rozdwojenia. „Brak rozumu stanu, brak pojęć jasnych i wybitnych, namiętności partyj, partykularyzm i prywata, skutki przeszłości, która zamiast iść z Europą stała się mumią między ludami żyjącemi. i nie mogła znieść powietrza 18go wieku: to wszystko przyprowadziło nieodwołalną, niechybną zgubę, której ani ostatni krok szlacheckiej polityki rycerzy barskich, ani pierwszy krok postępowości, konstytucya 3go maja, ani ten drugi, ogólno-narodowy ruch powstania Kościuszki zażegnać nie zdołał.“

Po przejściu tem historyi polityki w Polsce, do której większych potrzeba rozmiarów, aby ją wyczerpnąć, zwraca się do dzisiejszych polityków wiejskich. Prawdą jest, iż dzisiejszy ruch ogólno-narodowy, pobudza każdego do myślenia — czytania a przynajmniej do dysputowania nad polityką. W tych jednakże dysputach (która to forma zajęcia się polityką, jest dziś najzwyklejsza — bo najwygodniejsza), nie widać zdrowych zasad, nie widać otrząśnięcia się ze starych błędów i grzechów. „Jesteśmy sangwiniczni i wrażeniowi“ — mówi autor na na str. 35 — „a wrażenia przyjmujemy gwałtownie, bez przetrawienia ich rozumem i rozwagą nad ich skutkami.“

(C. d. n.)

CIOCIA TEKLA.

Szkic współczesny

przez

W. B. K.

(Dalszy ciąg).

III.

Lewe skrzydło pałacu w Podgórny, zajmowała hr. Tekla, starsza siostra hr. Leona. Musimy w tem miejscu porzucić na chwilę akcyę naszego szkicu, a przebiedz pokrótce minione lata, by poznać się bliżej tak z mieszkańcami Podgórny jako też i z Teklą, z tą niezaprzeczenie wyższą niewiastą.

Na tem samem miejscu, na którem dziś stoi pałac w Podgórny, przed laty czterdziestu stał piękny szlachecki modrzewiowy dworek; zapadłe nieco ściany, dach mchem porosły, świadczyły o latach, które przeszły nad nim. Zarosła trawą droga, zamknięte wrota wróżyły każdemu, iż w dworku tym ciche i samotne płynie życie, i że tradycyonalna gościnność polska, zaginęła pod tym dachem. W tym dworku mieszkał pan rotmistrz. Burzliwą i czynną przebył on młodość, wypadki, które wtedy wstrząsały krajem całym, niepozwoliły mu siedzieć spokojnie w domu; czynny i ruchliwy, a przytem gorąco przejęty sprawą, od pierwszej młodości poświęcił się służbie publicznej. Lecz dziwnem jakiemś przeznaczeniem niewiodło mu się nigdzie: w konfederacyi barskiej dostał się w niewolę i lat kilka strawił w głębi Rosyi, uwolniony w końcu, nieprzestał czynnie popierać odradzającego się ducha w narodzie, i z całym zapałem podzielał zdanie czteroletniego sejmu, i ustawy nowej konstytucyi, które haniebna targowicka zdrada tak dobrze wiadoma każdemu, przecięła w samym zarodzie, — przecięła odżywającą siłę narodu, i pchnęła go w przepaść... w przepaść grobową. Rotmistrz poszedł walczyć pod Kościuszką i pod Dubienką powtórnie do niewoli się dostał. A kiedy z niej uwolniony został.... nie było już Polski na kartach nowych map Europy... Straszny ten cios rozbił jego serce, z rozpaczą więc, boleścią, pełen goryczy i żółci powrócił do rodzinnej wioski w Galicyi. Ludzie tego usposobienia co rotmistrz, ruchliwym i czynnym obdarzeni temperamentem, łatwo bardzo przerzucają się z jednej ostateczności w drugą, tak i rotmistrz dotknięty ogólnem nieszczęściem, przestał obwiniać jednych a pochwalać drugich, przeciwnie całą winę niedoli kraju zwaliwszy na współczesne pokolenie, stetryczał zupełnie, znienawidził ludzi, i z żywego, gościnnego, rubasznie wesołego często, stał się ponurym, małomownym, skąpym. Odgraniczył się całą przepaścią zranionej duszy od towarzyskiego życia, i oddał się pracy materyalnej, fizycznej, od świtu do wieczora w drelichowej płótniance pilnował gospodarstwa, jeździł, doziérał, ulepszał, i stał się z czasem srogim dla niższych, nieprzystępnym dla równych, dumnym dla władzy. Z śmiercią jednego z stryjów, otrzymał spadkiem znaczny majątek, lecz zadłużony; całą więc sprężystość dawną przyłożył do oczyszczenia interesów tego majątku, rozmiłował się w pieniactwie i procesach, i cały oddany im namiętnie, zaprzestał zajmować się wypadkami, które światem wstrząsały wtedy... Ani różowe nadzieje nie oderwały go z tych zajęć, ani wierzył w jakichkolwiek zbawców, zdawało się, że zamarł w nim duch konfederata barskiego.. bo też i tak było rzeczywiście, nie miał on w sobie głębszego przejęcia się sprawą: on był Polakiem, był szlachcicem, który z chęcią przywileje swoje składał na ołtarzu ojczyzny, ale kiedy mimo to zobaczył upadek kraju, kiedy rozpatrzył się w potędze zaborczych państw Polski, fatalizmem jakimś uwierzył w niedocieczone wyroki Opatrzności, i znienawidziwszy ludzi — stracił i nadzieję w przyszłość. Wtedy materyalna w nim rozbudziła się strona, chęć bogactw wstrząsnęła nim całym, całą energię swoją zwrócił ku powiększeniu majątku, pieniał się ze wszystkiemi, a szczególniej z władzą. Tu nieraz dawny odzywał się żołnierz, nieustępował przed żadnym reskryptem, walczył zawzięcie z sądem i urzędnikami, i nieraz dał im się dobrze we znaki. Najboleśniej mu było płacić podatki i nieraz władza z nim ostatecznych musiała używać kroków, które go w gniew i wściekłość wprowadzały niepohamowaną. Raz nawet uniósł się tak dalece, iż urzędnika, który na sekwestracyę przyjechał, prostą drogą wyprosił przez okno; miał z tego powodu wiele kłopotów, i niemały zaledwie okup potrafił go oswobodzić z tej niemiłej sprawy. I tak z latami przysparzając fortuny, stawał się coraz więcej samotny; dziwne jego sobkostwo i obojętność na publiczne sprawy, odstrychały wszystkich od niego, iż z czasem z nikim nieżył i nikt niezajeżdżał do niego; mówiono tylko głośno o wielkim jego majątku, którego używać nie umiał. Rotmistrz, kiedy mu włos już dobrze szpakowacieć zaczął, i kiedy ułatwił i pokończył wszystkie procesa, kiedy sporą gotówkę leżącą miał w skrzyni, dopiero poczuł samotność swoją, jakoś po tylu latach zmrożone serce zapragnęło uczuć.... widział się sam i niemiał komu fortuny przekazać.... namyślił się wtedy długo, obejrzał po skromnych ścianach dworku, i znalazł je puste, i zaczęła go dręczyć samotność i nuda. Wyszukiwał więc nowych zajęć sobie, nowy nabył majątek, i zaczął stawiać pałac, któryśmy opisali na początku niniejszego szkicu, lecz nie tak go już zajmowały procesa, a w obszernym pałacu jeszcze mu było samotniej, i jakaś myśl z daleka przebłyskiwać mu zaczęła. A myśli tej widać uczepił się z zamiłowaniem, bo uśmiechał się do niej... myślą tą był małżeński związek — zapragnął na starość rodzicielskich uczuć i nienamyślał się długo.

W osamotnieniu przez tak długie lata pozostał mu jedyny towarzysz tylko, z konfederackich jeszcze czasów, z którym niezerwał stosunków, i do którego zajeżdżał jeszcze czasem. Tam myślami swojemi zatrzymał się rotmistrz, bo towarzysz jego miał córkę, skromne anielskiej dobroci dziecko... — Swaty nietrwały długo, może to był już jeden z ostatnich tych starych związków, w których nie układ prowadził materyalny, lecz ślepa wola rodziców... Rotmistrz nie szukał miłości, szukał poczciwej niewiasty tylko... i znalazł taką.

Odtąd jakby promyk jakiś weselny, zabłysnęło życie w pałacu Podgórny, i odżył, odmłodniał rotmistrz.... i w lat kilka dwoje dzieci bawiło się jego sumiastemi wąsami. Dziećmi temi była Tekla i Leon.

Pożycie jego domowe było pełne dawnej powagi i surowości. Rotmistrz nie umiał nagiąć uczuć swoich ku młodemu sercu swej żony, nie znalazł w piersi swojej tych delikatnych i tkliwych węzłów, przeciwnie cenił ją i szanował wysoko lecz zarazem i z uczuciami temi łączył troskliwość i surowość, nabytą przez długie lata samotności i sobkostwa. Ale mimo to, żona jego wychowana sama skromnie, statecznie, z czasem przywiązała się do niego, z delikatnością kobiecą umiała ogładzać zbytnią porywczość jego, zresztą dwoje małych dzieci, nadgradzały jej wszystkie troski i cierpienia...

Przeszło tak lat kilka, w czasie których rotmistrz rozstał się z tym światem...

Był to cios wielki dla pozostałej wdowy, która w mężu swoim jeżeli nieznalazła tkliwych uczuć, to przynajmniej znalazła silną podporę w ziemskiej tej podróży. Zostawszy samą z dwojgiem małych dzieci, nie zmieniła dawnego życia cicha, skromna, poczuła obowiązki, jakie spadły na nią i oddała się wychowaniu dzieci.... starszą córkę Teklę, zachowała przy sobie, a Leona oddału na pensyą do Tarnopola do Jezuitów, jak to wtedy ogólnie przyjętem było.

Ciche, klasztorne odtąd było życie w Podgórny. Chociaż jeszcze wdowa, nieletnia zupełnie, niezapragnęła życia i świata, za świat i życie zastępowała jej Tekla. Małą naonczas była jeszcze Tekla, aby śmierć ojca zbyt silne na jej umyśle wywołała wrażenie, lecz widok smutku matki nie mógł bez wpływu dla niej pozostać, przyzwyczaiła się od lat najmłodszych widzieć smutną stronę życia, i od lat dziecięcych nabierała tej powagi, w którą tak strojne dawniej były polskie nasze dziewice. Życie ich jednostajne, poświęcone pracy i modlitwom, z czasem wyrabiało w niej głębokie i surowe zapatrywanie się na świat i ludzi. Matka sama oddając się jej wykształceniu, wszczepiała w nią zasady, które nią samą kierowały w życiu, a słowa jej wpadały w młode serce Tekli, naginając je łatwo ku sobie, widząc matkę poświęcającą się obowiązkom swoim, widząc ją tak chrześciańską miłością przyjętą dla bliźnich, pełną cnót i pokory. Tekla mimowolnie wciągała w piersi te zalety wszystkie, wzrastała z niemi i w nich, niewiedząc o tem. Od lat dziecięcych, pomagała matce i starała się ją zastąpić, ulżyć w jej troskach i kłopotach, przy tem z pociągiem wewnętrznym do piękna i nauk, chciwie im się oddawała, najmilszem jednak dla niej zajęciem była nauka historyi własnego kraju. Od lat najmłodszych, może powiewem wiatru po łąkach Wisłoki, może śpiewem ptasząt po sadach Podgórny, szeptało w jej sercu jakieś nieokreślone uczucie za wielką przeszłością naszą, z bijącem też sercem wczytywała się w karty zapisane cnotami i odwagą przodków naszych; karty zapisane prywatą i niedolą, zgrozą i boleścią wskróś ją przejmowały. Z podobnego trybu życia, była dziwnie nad swój wiek poważną, ani ją zabawy nienęciły dziecinne, ani ich szukała nawet. Nie była wprawdzie piękną, lecz w wyrazie swej twarzy miała tyle słodyczy, łagodności i dobroci, że ujmowała każdego; w ruchach jej tyle było wyższego polotu, iż w kole nawet ładniejszych i weselszych, zwracała na siebie uwagę, tak postawą swoją, jako też dowcipem i rozumem, który w każdem jej przebijał się słowie. Litościwe jej serce było niezmiernie tkliwe na nędze bliźnich; uzbieranych przez oszczędność pieniędzy, cicho, skrycie udzielała biednym, tak że z czasem po całej okolicy wieść się rozeszła o dobrej panience, o litościwem dziecku, że w każdem utrapieniu ubogi z zaufaniem szedł do niej, wiedząc iż ulgę i pomoc znajdzie... Tak rosła Tekla, kochana od matki, uwielbiana od wszystkich, a sama jak ptaszek w błękicie szczęśliwa i swobodna.

Inaczej, inszą drogą w tymże czasie kształcił się Leon. Niech nas nikt o stronniczość nie posądzi, musimy jednak powiedzieć prawdę. Szkoły Jezuitów w Tarnopolu, kształciły młodzież niezmiernie jednostronnie, kastycznie. Nauki wprawdzie zdatni wykładali ludzie, lecz brak odpowiedniego dozoru, który troskliwe tylko daje oko rodziców, napróżno silił się zastąpić surowy rygor klasztorny... młodzież też była tylko na pozór surowo i karnie prowadzoną. Przytem cały kierunek zakładu wpajał paniczostwo w młode umysły uczniów, staranność drobiazgową koło ubioru; metrowie tańca, baliki i wizyty w niedzielę w mieście, przyczyniały się nie mało do tego. Wyradzały się też w uczniach wysokie kastyczne wyobrażenia. Po większej części zamknięte w murach zakonu dzieci majętnych rodziców, nabierały o sobie i życiu odrębnych zdań, tak że uboższy, zaściankowy szlachcic poniewieranym był od nich. Nie hartowano w zakładzie tym, młodzieży do ciężkiego obywatelskiego zawodu, niewpajano w nię nieodzownych, trudnych a świętych obowiązków względem ojczyzny, przeciwnie pieszczono ich życiem i drobnostkami; małe, śmieszne, pozorne względy i uprzedzenia podnosząc do wysokich społecznych zadań. Ztąd też młodzież wychodząca z tego zakładu, rzucała się z cisznych klasztoru murów, bezmyślnie, a z uprzedzeniem w życie, które jej pokazywano przez kraty zakonu. Spragnieni uciech i życia, raz wypuszczeni z klatki, długo opamiętać się nie mogli. Tak było i z Leonem — z natury miękkiem obdarzony usposobieniem, słabym charakterem, niezmężniał, nie nabrał w zakładzie hartu. Przyjeżdżając na wakacye do Podgórny, nudził się i ziewał. Czuła matka, radowała się jego widokiem, a niemogąc się sama poświęcić jego wychowaniu, może nie pojmując nawet na czem polega męzkie prowadzenie dziecka, zadowolnioną zupełnie była z niego! Stosunek rodzeństwa był serdeczny, Tekla kochała Leona, starsza od niego, a przytem jako dziewczynka, dojrzewająca wcześniej, opiekę prawie swoją rozciągała nad nim. Poddawał się Leon tej opiece z zwykłą sobie miękkością. I po pobycie kilkotygodniowym na wsi w kole matki i siostry, niewiedział sam jak innych nabierał wyobrażeń, jak wpływ zbawienny siostry otrząsał z niego przywyczki i zdania zakładu, jak stawał się hartowniejszym i nabierał chęci do głębszej nauki, jak stawał się mniej paniczem... aż powrót do klasztoru znów z równą łatwością zacierał w nim tę przemijającą poprawę.

Tak mijały lata, nieprzynosząc zmian żadnych w Podgórny. Tekla dorastać zaczynała, z latami umysł jej coraz nowego nabierał wykształcenia, serce jej jednak... prócz uczuć dla Boga, matki i kraju, uspione było jeszcze, jak spi kropla rosy w kielichu kwiatu.

Troskliwa matka myślała nieraz, by los utrwalić córki, nieraz niepewnie patrzyła w przyszłość, widząc wie-

kiem nadwątlone swe zdrowie, a Teklę samą bez opieki na świecie, bo Leon, dziecko sam jeszcze, czyż mógłby być podporą sierocie... Rozszerzyła też zakres znajomości swoich, i wkrótce dom jej stał się głośnym miłem przyjęciem i polską gościnnością... Niedługo więc niejeden z młodzieży nęcony już to zaletami Tekli, jużtem ujmującem przyjęciem wiejącem z serdecznej gościnności, już też majątkiem, snuł projekta i plany z daleka, lecz Tekla dla wszystkich była jednaką, równie uprzejmą, równie gościnną, lecz nie uczuła nigdy prędszego bicia serca, ani niepokojem zmąciła się myśl jej jasna kiedy. Matka badała ją nieraz, nieraz po dłuższym pobycie którego z młodych ludzi, dla którego szacunek miała, ostrożnie, z daleka badała Teklę, lecz dziewczę z całą prostotą i naiwnością wypowiadało zdanie swoje, lecz rumieniec niespłonął na jej pogodnem obliczu, ten rumieniec dziewiczego wstydu, który spłonie zawsze na wspomnienie ukrytych marzeń serca... Nie, nikt niezdolen był dotąd rozmarzyć jej główki, zająć jej serca; lubiła pomówić z jednym, pośmiać się lub zabawić z drugim, lecz serce było spokojne i zimne... A jednak miała gorące i głębokich uczuć pełne to serce—gdybyśmy ją w cichych jej dumaniach podsłuchali kiedy, tobyśmy się przekonali pewnie, że zdolną będzie kochać prawdziwie i szczerze, że pojęcie miłości śni w niej jeszcze i czeka... Nie było tajemnic w jej marzeniach, toć nieraz uklękłszy przed matką, jak ptaszek szczebiotała rojenia dziewicze, a matka tuliła ją do piersi i błogosławiąc śnieżne jej czoło, modliła się w duszy by Bóg dał szczęście dziecku, co tak warte szczęścia...

Jakoś raz na wiosnę wypadło wdowie wyjechać do Warszawy, dla ułatwienia niektórych ważnych interesów, Leon był w Tarnopolu na ostatnim roku nauk. Tekla pojechała z matką.

Dawno skrytem marzeniem Tekli była podróż do Warszawy, do tej stolicy polskiej, w której wtedy jeszcze jakaś cząstka pozostała życia publicznego, po rozbiciu całego kraju. Z radością też wyjeżdżała z Podgórny, i po kilku dniach podróży, z bijącem sercem ujrzała mury stolicy. Niedziwić się jej, niedziwić uczuciom które młodą pierś opanowały, bo czyż z ziemskich uczuć jest świętsze które, nad miłość ojczyzny... A być w jej sercu, oddychać jej powietrzem, widzieć po raz pierwszy mężne szyki rodaków, pod których mundurem krew bije polska, o to pewnie że wtedy poddać się można nieznanym nigdy dotąd wrażeniom... takim wrażeniom uległa Tekla.

Po kilkodniowym ich pobycie, i po odnowieniu stosunków z krewnymi, poszła raz Tekla z matką na plac Saski, by widzieć przegląd pułku ułanów który świeżo do Warszawy przybył; przegląd odbyć miał sam wielki książę. Była dziesiąta godzina z rana, na obszernym placu, od godziny w paradzie stał pułk przybyły, świetne mundury, dobór koni, imponujące robiły wrażenie... Ścisk był wielki, Tekla z matką pod opieką jednego z krewnych wygodne miała miejsce, zkąd z bliska dobrze mogły wszystko widzieć.

Wielkiego księcia długo widać nie było, słońce przypiekało majowe, konie niecierpliwie gryzły wędzidła. Naraz, cisza powstała w tłumie, i tylko dolatywał tentent odległy galopu, i przytłumione pojedyncze słowo: „jedzie". Rzeczywiście wpadł przed front Konstanty, otoczony sztabem, lecz zawżdy dziki wyraz jego twarzy, dnia tego dzikszym był stokroć, krzaczyste brwi ściągały się z sobą, a zmarszczki jak bruzdy głębokie wryły się w mongolskie oblicze jego; usta ścięte a wzrok szybki, zwierzęcy, wróżył niedobrze o usposobieniu starszego brata cara Wszech Rosyi. Wielki książę w tłumie niewstrzymał konia, przed frontem pułku przejechał szybko, i tylko bystrym wzrokiem śledził każdego żołnierza.

(C. d. n.)

KRONIKA.

Kiedyś, to jest d. 25go t. m. mieliśmy rzadkie dla nas zjawisko, bo ślub w polskich strojach, — hr. Tarnowskiego z hrab. Zamojską. Ślub ten zgromadził tłumy pragnące widzieć dorodnych państwa młodych ubranych narodowo. Zdawało się wszystkim, że potomkowie h tmanów, ojewodów i kanclerzów, najdzielniej wskażą jak to nosić trzeba te cudowne barwy, które tak zdobiąc postawę, już mimowiedzy wznoszą duszę każdego za czasami, o którychby się marzyło a marzyło; zdawało się wszystkim, że kto raz taki ubiór na siebie bierze, to go do śmierci pokochać musi całą miłością świetnej tradycyi, i śmierci tylko pozwoli go sobie odebrać. Z ciekawością więc poszli wszyscy patrzeć na tę fortunną inauguracyą przyjętą przecie i przez wyższe warstwy, radością więc zabrzmiały wszystkich serca, chociaż ogólną radość harmonii sparaliżowały dwa kosmopolityczne fraki, tą razą budzące tylko podziw.

Tych fraków, z kusością których wszystko się nam kuso poczęło, spodziewamy się już więcej nie widzieć, tem bardziej gdy w tak uroczystej chwili jaką jest ślub, widzieliśmy wszystkich prawie w narodowych ubiorach; dla tego wiersz nadesłany nam:

O! dla was lepsze dziś fraki
Niżli kontusz lub czamara,
Niech pospólstwo, niechaj żaki,
Cała zapaleńców chmara
Czynią taką maskaradę...

uważamy za bolesną ironią przeszłości *nie przyszłości.*

Wiadomość literacka.

W Warszawie w drukarni J. Jaworskiego, 1861, wyszło dziełko młodemu wiekowi, któremu jest poświęcone, bardzo przydatne i odpowiednie p. t. *Marya Klementyna, opowiadanie o wnuczce króla Jana, przez Aleksandrę z Chomętowskich Borkowską.*

Po śmierci Jana III, rodzina Sobieskich rozproszyła się po obcych krajach; jeden tylko królewicz Konstanty ożeniony z Wesslówną pozostał w ojcowskiej Żółkwi. Książę Aleksander ulubieniec matki przebywał wraz z nią w Rzymie, gdzie w klasztorze OO. Kapucynów niezadługo życie zakończył. Marya Kazimiera przeniosła się potem do Blois, i tam już dokonała smutnego żywota. Księżniczka Teresa Kunegunda wydaną była za bawarskiego elektora, najstarszy zaś z rodzeństwa Królewicz Jakób zamieszkał wraz z żoną w Oławie, wypuszczonej mu przez szwagra cesarza Leopolda. Z czworga jego dziatek takie z nich każde mia o losy. Najstarsza Karolina, poślubioną była francuskiemu księciu de *Bouillon*, druga Kazimiera niedostępowała babki — syn zmarł w dziecinnych latach — *Marya Klementyna* była najmłodszą, i o niej to właśnie ta cała książka opiewa. Maryą Klementynę zaślubił wyzuty z tronu Jakób Stuart, angielski. Będąc wygnanym z ojczyzny, i spędzając lata swego tułactwa w Rzymie, musiał przechodzić wiele przykrości, zanim przebywającą w kraju cesarza Leopolda (sprzyjającego nowym rządom Anglii) Klementynę Sobieską mógł swoją nazwać żoną.

Niczem sprawy jego nawet protekcya Papieża Klemensa XI nie poparła. Potajemnie wywieziona Marya Klementyna z Oławy, w drodze zostaje zatrzymaną i w więzieniu osadzoną w Inspruku. Rok blisko niewoli zakończa jej ucieczka za pomocą przychylnych Jakóbowi. W Bolonii, w imieniu Jakóba Stuarta, przysięga jej wiarę małżeńską Murray, po czem już jako królowa angielska udała się do Rzymu. Kilka lat smutku i próżnych nadziei, lat pełnych trosk domowych i obaw o los męża, nadaremnie o tron się kuszącego, spędziła ta bogobojna i powszechnie szanowana wnuka, dzielnego pogromcy Turków (1683), w Rzymie, na troskliwem chowaniu dwóch swoich synków. Starszy Karol Edward, ubiegał się potem, równie jak ojciec napróżno o tron angielski, młodszy został kardynałem.

Marya Klementyna umarła w 32 roku życia.

Opowiadanie jej żywota p. P. Borkowską, zajmuje i jest bardzo przystępnie prowadzone. Forma powieściowa ułatwia wiele czytanie podobnych monografij. Szkoda tylko, że z charakteru Maryi Klementyny nigdzie—a nigdzie, ani w jednem słówku, nie poznać, że to była Polka — że dziad jej był królem wielkiego i potężnego narodu.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu". — Rządzca druk. Antoni Rother.